

Janusz Ramotowski

część III z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **29.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min, część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Wspominał Pan w swoich zapiskach o Pani Magdzie Roszkowskiej, która zajmowała się takim serwisem socjalnym. Gdyby Pan troszkę o tej osobie opowiedział. Ja Magdę poznałem przez Piotra Izgarszewa.

Janusz Ramotowski: Skąd ją wyciągnął Piotr, to ja nie wiem, nie mam zielonego pojęcia. W każdym bądź razie w momencie, kiedy... Kiedy to już były Grupy, to w którymś momencie Piotr poznał mnie z Magdą. No i Magda była rzeczywiście genialna. Ona miała silne podłączenie pod Świętego Marcina. No i oprócz tego miała ten swój krąg osób, kobiet zaangażowanych w to wszystko. Na ile my z tego korzystaliśmy. To nawet momentami szło w obydwie strony, ja pamiętam. Mój pierwszy odbiór w ogóle towaru przemyczonego ze Szwecji. To była jakaś niesamowita ilość szmat, butów, najczęściej nie do pary. Więc ja to wszystko... Już wtedy przez Piotra znałem Magdę, to wszystko zważyłem właśnie na Magdę, do Magdy. Więc to oni korzystali. Dla odmiany my żeśmy z pomocy Magdy korzystali nieraz w jakichś tam zrzutach żywnościowych tam przychodziły jakieś rzeczy. Nieraz żeśmy coś dostawali też. Na pewno Magda też zapewniała opiekę medyczną, zdrowotną. Nawet moja żona tam kiedyś trafiła do jakichś niezłych lekarzy przy okazji Magdy, ale to się pomału też przekształcało bardziej w jakieś takie... Trzeba było wpaść nieraz do niej, żeby sobie posiedzieć, pogadać, prawda? Ona i jej mama były strasznie miłe, takie ciepłe kobiety. No i tyle. Znaczący ja nigdy nie miałem potrzeby korzystania z pomocy prawnej, prawda? To znaczący w momencie kiedy już były te transporty, kiedy to zaczynało wyglądać poważnie, no to podpisałem i to przez Magdę, podpisałem prokurację in blanco dla adwokata, no i ona leżała w Świętym Marcinie, no i w przypadku wypadki. Moja żona miała pójść do Świętego Marcina, powiedzieć hasło, że jest w sprawie miasta Kłodzka, no i wtedy ta pomoc miała ruszyć,

tak samo jak ewentualna pomoc dla nich, dla rodziny, gdybym siedział. Do tego nie doszło nigdy. Mieliśmy szczęście, że jeżeli chodzi o stronę z bezpieczeńką, my żeśmy z tą bezpieczeńką się nigdy nie spotkali. Oni się nie spotkali z nami, my żeśmy się nie spotkali z nimi. I tak chyba powinno być. Chociaż w pewnym momencie był podsłuch w mieszkaniu, tak? Tak, ale ja nie mam zielonego pojęcia, to jest wszystko dosyć niejasne. Czy to przypadkiem wszystko nie odbyło się po naszym wyjeździe, kiedy tam Bobek zrobił taki kocioł. I czy oni w tym momencie dopiero tego podsłuchu nie zainstalowali? Nie mam pojęcia, bo tam przy tym wszystkim... To są sprawy ciemne, których ja nie jestem w stanie wyjaśnić. To nie były sprawy aż tak ważne, jeżeli chodzi o... Bobka w tym mieszkaniu, żeby te podsłuchy wyjąć z teczki. A te wszystkie raporty z tych podsłuchów zostały wyjęte. Zostały jakieś tam ślady odpisów, jakieś takie rzeczy. Dlaczego oni to wyjęli? To nie mogło iść na Józka. Druga sprawa, tym mieszkaniem interesował się ten kontrwywiad wojskowy. No tak, no proszę cię, jest informacja, że mieszkaniem tym interesuje się... W książce trzeba było przeczytać, który to Wydział MSW, no i to był kontrwywiad MSW. Nie MSW – WSW, no wojska, nie? Wokół tego mieszkania jest parę tajemnic dziwnych, których ja nie jestem w stanie do końca rozstrzygnąć. Na tym Wawrzyszewie. Z kolei podsłuch był zainstalowany od dziadka Grabowskiego. Ale kto to wie? To jest moje podejrzenie, ponieważ ciągnięcie mikrofonu od góry było bardzo trudne, ale przecież piętro wyżej mieszkał ten ZMS-owiec z Hut, na przykład. Więc można było ten podsłuch spuścić od niego. Dlaczego dziadek Grabowski? Bo on się bardzo dziwnie zachował, jak mnie zobaczył, tak jakby miał coś na sumieniu. Techniki były proste: albo spuszczały przewody wentylacyjnymi, albo wiercimy ścianę, zostawiając cienką warstwę tynku od strony lokalu podsłuchiwanego. Na telefony jeszcze łatwiej, ale tego szczęścia nie mieliśmy. Tak że to też nie jest oczywiste, że to dziadek Grabowski, być może, że to z góry. Nie jest oczywiste od kiedy, bo tak jak mówię, W tym co się zachowało w IPN-ie są strzępy. Są strzępy, jakieś takie notatki, odpisy, które sobie ktoś tam robił z jakichś kawałków. Natomiast raportu pod tytułem dnia tego, takiego, od godziny takiej, od takiej, mieliśmy założony i podsłuchiwalismy i tak dalej, tego wszystkiego nie ma po prostu. Jeżeli to było wcześniej, to zostało też za czasów mojego następcy tam na tym lokalu. Józka Bobka, na pewno, na pewno to wykorzystywali. Na pewno przez to mieszkanie Józek Bobek stał się Tajnym Współpracownikiem. Tutaj, znaczy ja nie miałem w ręku jego teczki, ale w 1987 roku mnie wznowiono zabezpieczenie operacyjne, a u mnie w Miluzie, kto się zjawił? Józek Bobek. I mi zaproponował go do przerzutu pieniędzy, dokumentów z Biura paryskiego do Warszawy, nie do Polski. Więc tam się odbywał jakiś taniec czarownic. Do dzisiaj naprawdę nie wiem skąd to wojsko, dlaczego służby wojskowe się tym też interesowały. Jeżeli chodziłoby o nas, to by świadczyło o tym, że rozpoznanie nas sięgało dużo głębiej, ale nie ma żadnego dowodu, że tak było. Nie ma też, powiedzmy, skuteczności działania. Więc teraz teoria druga, bo Józef Bobek miał tam jakiś... Gdzieś tam po rodzinie byli jacyś ludzie w WSW. Może to była walka o to mieszkanie, może coś, ja nie jestem w stanie tego prześledzić.

Artur Kłus: Jak pan pamięta jeszcze jakieś takie, to może źle zabrzmiało, ale jakieś weselsze okoliczności tutaj? Chciałby wspominać Pan o sytuacji, gdzie został zostawiony samochód...

Janusz Ramotowski: W fiacie, który był cały załadowany kolportażem. I do którego dokonano włamania. A tak, ale to, to... Adam Karwowski. To, to z tej, z kręgu, nie?

Artur Kłus: Czy to był fiat Waldka Wyso...

Janusz Ramotowski: No, Wysokińskiego. No, no, oni byli rączka w rączkę, znaczy... Waldek był, jakby powie-
dzieć, prawą ręką Adama Karwowskiego. No i to było ich, znaczy to w ogóle śmiesznie tam u nich było, bo Adam
drukował za szafą, jak się tam do niego wpadało, to można się było zapytać, chyba to córka była, a gdzie tatuś?
„A tatuś za szafą”.

Artur Kłus: Jak ta historia z samochodem wyglądała?

Janusz Ramotowski: Znaczą po prostu oni zostawili załadowany samochód, żeby następnego dnia pojechać.
Złodzieje chcieli ukraść samochód, no to wybili ten szyberek, ten mały. No ale jak otworzyli samochód, to zobaczyli,
że samochód jest pełen bibuły. No to zostawili karteczkę, że przepraszają, ale niestety nie mają pieniędzy, żeby za-
płacić za ten szyberek potłuczony. Zresztą Waldek miał jeszcze drugą przygodę, jak kiedyś przewoził bibułę w kufrze,
no i go zatrzymało wojsko, żołnierze. No, dokumenty, to tamto proszę otworzyć kufer. No to Adam otworzył kufer...
Waldek otworzył kufer, glina podniósł ten koc, no i tam pełno tej bibuły od cholery, nie? A to żołnierz mówi: „no
i co będzie, jak zamelduję?”. Na co Waldek ze spokojem mówi: „a co będzie, jakbyś nie widział?”. Zatrzasnął ten
kufer, mówi: „szerokiej drogi”, no i pojechał sobie. A kiedyś do Falenicy żeśmy wieźli powielacz. I wtedy maluchem.
No i ten maluch był załadowany, cztery osoby, ten powielacz pod nogami. I w tej Falenicy, już wieczór był zatrzymał
nas jakiś patrol. Dokumenty proszę. Zaczął te dokumenty oglądać. Pokiwał głową. Mówi: „panowie, wytłumaczcie mi,
jak żeście się w tym jednym maluchu znaleźli tu wszyscy teraz naraz? Przeczytam miejsca pracy, Region Mazowsze,
Uniwersytet Warszawski, Coś tam, wszystkie cztery miejsca podpadnięte. Jak wy żeście to zrobili, że wy żeście tak
przez przypadek wszyscy czterej się znaleźli w tym samochodzie?”. Ktoś tam mówi: „no co, benzyny nie ma, to tak się
człowiek łapie, żeby dojechać”. „Jedźcie, tylko ostrożnie”. Takich historii śmiesznych, to było tego, że jest trudno to tak...
Prysałem tego 31 sierpnia ta manifestacja była, Uciekam przed gazikiem, gazik mnie goni, szanse na to, że ucieknę
są zerowe, no bo to szybciej jeździ. Jak już gazik był naprzeciwko mnie, no to wyskoczył tam ten zomowiec objuczony
tym całym majdanem, tarczy chyba nie miał, ale pałę miał, karabin miał, to wszystko miał. I w tym momencie cieć
w bramie, jakaś tam była Chłodna [ulica], gdzieś tam te kawałki, cieć stał w bramie i krzyczy do mnie: „ta brama jest
przechodnia”. No to ja fru w tą bramę, wierząc, że on mnie nie okłamuje. Ja na lekko, nie miałem nic przy sobie, tam
biegnę, tu jakiś śmietnik, jakieś coś, a ten biedak pędzi za mną z tym całym towarem, Ja jakoś ominąłem te śmietniki,
on się w te śmietniki wpierdzielił, nie zdążył wyhamować. I w tym momencie się wywalił w to wszystko i wtedy słyszę:
„o Boże!”. No to stanąłem, mówię: „co, jak trwoga, to do Boga!”. No i rzeczywiście brama była przechodnia, i się
wydostałem drugą stroną. No na pewno zabawne były historie związane Mańkiem, Maniek „Mercedes”. To był taki
człowiek od Piotra Mazurka. Maniek miał zawodowo bardzo potrzebny zawód. Maniek zaopatrywał w gorzałę
meliny z wódką. Na tą okoliczność Maniek miał samochód dostawczy, mercedesa. No i tym mercedesem podjeżdżał
pod Pewex, Wykupował całą wódkę, która była, żeby ją rozwozić później po melinach. Maniek jednocześnie pra-
cował dla Piotra, no i rozwoził już gotową bibułę, albo też dowoził materiały do produkcji, czyli papier, etc. Któregoś
razu Mańka chwycił patrol, zatrzymali go, Maniek miał papier w środku, więc otworzyli, zobaczyli, że jest papier,
no to wezwali bezpiekę. Wezwali bezpiekę, bo to wiadomo, że to straszne przestępstwo. Przyjechała ta bezpieka,
no i Maniek tłumaczy tym bezpiekantom: „panowie, zanim zaczniecie robić głupstwa, wy zadzwonicie do Cyryla
Metodego i się dowiedziecie, kim ja jestem, bo narobicie niepotrzebnych głupot”. Więc oni zadzwonili na Cyryla
Metodego, no i wyszło, że Maniek jest porządny człowiek, bo on to tą gorzałą handluje, nie? Maniek opozycja, ale

w ogóle bzdura, jakiś idiotyzm. No ale on ten papier miał, więc tam jakoś zgłosił taką opowieść o tym, jak on wszedł w posiadanie tego papieru: „I co żeście godzinę policyjną zrobili. Ludzie nawet po gorzałę nie mogą po nocy latać, ja mam straty w interesie to wożę co się da. Mnie takich dwóch nygusów wynajęło, żeby ten papier przewieźć”. „No tak, ale to skąd, dokąd?”. „A to z rogu takiego, a takiego ulicy, na róg taki, a taki, tam mieli na mnie czekać, żeby ten papier odebrać”. „I co czekają?”. „No teraz to nie wiem, chyba już nie, no bo żeście mnie zatrzymali, trochę to trwa”. „No ale jak to? Czy wiecie ile taki papier kosztuje?”. „No nie wiem, no pewnie kupę szmalu itd. Tak na tyle papieru”. „A nie, to oni mnie spisali z dowodu osobistego. I powiedzieli, że jak coś, to się mną zajmą”. „No to pewnie przyjdą?”. „No jest możliwe, że przyjdą”. „No co, wtedy dacie znać”. Maniek mówi: „tak, oczywiście, żeby mnie w takie rzeczy zrobić”. No i podpisał współpracę, stał się Tajnym Współpracownikiem o pseudonimie „Mercedes”. No i przyjechał do nas, wystawił do nas tam, żeśmy mieli jakieś tam spotkanie, zebranie. Wystawił te gorzały, mówi: „a teraz uważajcie, bo ja jestem Tajny Współpracownik „Mercedes”. To taki był Maniek na przykład. No to z kręgów Magdy Ruszkowskiej, gdzieś tam w Ciechanowie, czy gdzieś w tamtą stronę. Tam mieszkała taka pani lekarz ze swoją matką, staruszką. No i była akcja „Dzielnicowy w każdym domu”. Dzielnicowi chodzili po mieszkaniach, dzień dobry, przedstawiali się. Dzielnicowy w każdym domu. No i zawitał dzielnicowy do tychże pań. Pani doktor była w pracy, jej matka była w domu. „A dzień dobry, ja tu się przedstawię, ja tu jestem dzielnicowy, ja tak chciałem się z ludźmi poznać”. Babcia mówi ze spokojem: „a to ja się cieszę. A pan to ten stopień to jaki ma tutaj?”. „No ja jestem sierżantem”, mówi dzielnicowy. „Ojej, to ja już takich stopni nie znam, bo wie pan, jak ja ostatni stopień widziałem, to był starszyna. Oj, to jak to się pozmieniało to tego”. „No widzi Pani jak się pozmieniało, no ale to co, poznamy się, wejdę do środka”. No i tam zaczął myszkować po tym domu, aż dotarł do pokoju, który był zamknięty. No i się pyta babci: „a ten pokój co?”. „A nie, to to pokój córki, ona zamyka mi na klucz, nie wpuszcza mnie do tego pokoju. Nie no, to nie mój pokój”. „No może pani ten klucz gdzieś ma?”. „A nakaz rewizji to panie sierżancie pan ma?”. Powiedziała wtedy babcia dzielnicowemu i dzielnicowy zrozumiał kto tu kogo w głębia robi. Śmiesznie było jak mnie przeprowadzali, przeprowadzał sierżant milicji przez Plac Grzybowski w czasie tychże, w 1982 roku. Już nie wiem dlaczego mnie parło, żeby do tego Dworca Centralnego dotrzeć, jakby tam jakieś zbawienie. No a na Placu Grzybowskim byli zgrupowani Ci zomowcy, więc podlażłem do tego, tam był sierżant taki, podlażłem do sierżanta, pytam się: „proszę pana, a do Dworca Centralnego to którądy?”. A on mówi: „o tu prosto, prosto”. „To może nawet wiem lepiej od pana. Ale jak mam przejść, ja wejdę, a to zaraz mnie pana kołesie obtłuką”. „A nie, nie, ja was przeprowadzę”. „No to mi przyjemnie”, mówię, to chodźmy sobie. No i żeśmy szli przez ten Plac Grzybowski. On ładował tam ten magazynek, do wyrzutnika tych granatów dymnych. „Widzi pan, walka z tłumem”. No mówię: „widzę, widzę. I co wygracie?”. „Wygramy”. Zobaczymy, mówię, może nie tego... Doszliśmy do końca, stali zomowcy. I sierżant zakomenderował: „przejdzie”. Więc oni się rozsunęli. No i ja w to przejście, jeszcze rękę sobie ściszałem z tym zomowcem, a naprzeciwko barykada. Ławka, ten pojemnik na śmieci, sztandar narodowy wetknięty jak należy. No czyli swoi, tylko jak ja mam teraz do tych swoich podejść, jak ja tu się ściskam z tym zomowcem, z tym sierżantem. No więc dookoła, dookoła, no i jak już tam dotarłem do tej barykady, się okazało zupełnie niepotrzebnie, bo tą barykadę zbudował i bronił Piotr Iłgarszew. Aaa, wiedzieliśmy, widzieliśmy, jak żeś się z tym zomowcem całował”. [śmiech] No i to takie ten... Oj, ile to by było takich... To do rana.

Artur Kłus: Dopytałbym się...

Janusz Ramotowski: A, no trzeba, trzeba, trzeba. Ogłoszenie w sprawie psa. A, tak. Bez tego w ogóle nie ma życia. Ja nigdy nie przyjmowałem po tym wydarzeniu żadnych hasel pod tytułem „jestem w sprawie psa”. Więc to znowu Piotr Izgarszew i nie wiem kto, czy Teoś gdzieś tam na czele tego wszystkiego. Gdzieś tam były drukowane ulotki, te ulotki miały być gromadzone w jakimś tam mieszkaniu. No i z tego mieszkania ulotki miały być odbierane przez ekipy, które miały te ulotki sypać. Jakoś tak generalnie, bo to jeszcze coś w tej opowieści jest mylnego, ale zaraz do tego dojdziemy. No i jak to w życiu bywa, ktoś pomylił adres. Hasło było dobre, ale adres był pomyłony. No i w którymś momencie na tej chacie trafia się Piotr Izgarszew. Dzwoni, „dzień dobry, ja z ogłoszenia w sprawie psa”. „Ale proszę, niech Pan wejdzie” mówi człowiek, no to Piotr wlaź do środka. No i on się pyta: „ma pan może przy sobie ogłoszenie w sprawie psa?”. Piotr miał w torbie jakąś masę ulotek, to Piotr odsuwa suwak i mówi: „o proszę bardzo”. Człowiek mówi: „dobrze, to proszę usiądźmy sobie kawkę, herbatkę”. Zrobił kawkę i później mówi: „proszę pana, jestem szczerzy Polak i gorący patriota, ale czy Pan może coś zrobić, żeby już do mnie nikt nie przychodził [śmiech] z ogłoszeniem w sprawie psa, bo ja nie wiem o co chodzi, ja nie wiem co ja mam z tym robić”. Taka była przygoda Piotra na przykład. No brat Teosia, Waldek, jak Teoś wyszedł z kicia, no i chcieli się spotkać, więc dostał adres, hasło, odzew, wszystko co trzeba, No i Teoś siedział na piętrze, a Waldek się dobijał parę razy do mieszkania na parterze. Dlaczego? Tamten człowiek już był w końcu wściekły, bo Waldek wracał i mówił: „tu musi, tutaj, na pewno tutaj, to jest takie hasło, tu musi być człowiek”. Tamten już zaczął furii dostawać, a Teoś siedział piętro wyżej. I później Teoś już skomentował to wszystko: no bo jak ktoś się urodził w Sowieckim Sojuszu, to dla niego pierwszy etap to jest pierwszy etap, to jest parter przecież. [śmiech] Takie różne kwiaty.

Artur Kłus: Ktoś nie przekazał dobrze informacji.

Janusz Ramotowski: Nie no, informacja była pełna, tylko Waldek rzeczywiście myślał po radziecku. Oni wrócili, oni pochodzili z terenu obecnej Białorusi. I ich repatriacja była jakoś dosyć późna. Ja myślę, że ich ojciec musiał siedzieć tam wcześniej, coś tam się musiało odbyć, Bo to już były lata 50., takie późne 50., jak oni się w Polsce zjawili. No i im tam trochę zostało z tego Sojuza.

Artur Kłus: Jaki był Pana udział i w jakim stopniu w ogóle, jeżeli chodzi o organizację sypania ulotek, ulotkowanie?

Janusz Ramotowski: Tak jak mówiłem, głównie jeśli chodzi o technikę, to znaczy gdzieś tam przy pomocy Grzeška Jaczyńskiego wydobywałem lonty wolnotłące, na azotanie srebra to było robione, tam żeśmy ćwiczyli sposób zwijania, takie rzeczy. Natomiast skłamałbym jak pies, gdybym opowiadał, że ja jednak wlaźłem gdzieś na dach i z tego dachu sypałem te uloty. To już tutaj Waldeczki mogą przytoczyć tysiąc przykładów, jak oni to robili. Natomiast ja widziałem ileś sypań, prawda. Byłem, żeby zobaczyć skutki. Natomiast ja sam, przepraszam, skłamałbym. Kłamię w tej chwili okropnie, ponieważ ja wysypałem potworną ilość ulotek. Tyle, że nie w Warszawie, w Paryżu. W Paryżu wysypałem potworną ilość ulotek, ja nie chciałem, to się później tak dzieli, ale w każdym razie to było kilkaset tysięcy ulotek. To był rok 1985 jednak chyba jeszcze, na rocznicę na 31 sierpnia. Zadzwoił do mnie szef wtedy Biura paryskiego „Solidarności”, żeby mógł przyjechać, pomóc w sypaniu, bo jest jeden człowiek, ale poza tym to nie. Ja pojechałem do tego Paryża, poznałem bardzo ciekawego człowieka, Niejaki Olek Stankiewicz, były borowiec z Biura Ochro-

ny Rządu. Jak on się dostał na ten Zachód, to jest opowieść Olka, też trzeba by było się jakoś tym zająć, nie wiem jak. Bo Olka wywalili na Zachód, bo on zakładał ten związek wolnych pracowników milicji i tamtego wszystkiego. A on wtedy, w tym okresie czasu był ochroniarzem Stasi Gierkowej. Stasia raz w tygodniu przylatywała na zakupy do Paryża, no i Olek z nią, żeby ją tam pilnować, żeby się jej krzywda nie stała. Olek w czasie wolnym pijał zawsze w jednym lokalu. I oni byli przekonani w tym lokalu, jak już Olek był na emigracji, że on znowu przyleciał z tej Polski, prawda. Znowu przyleciał, bo znowu tam obstawia Stasię, czy diabli wiedzą kogo. No więc to właśnie Olek to sypanie miał robić, no ale potrzebował pomocy, ja przyjechałem. No i to było piękne, bo żeśmy sypali z łuku Triumfalnego. Sypaliśmy z Katedry Notre Dame. Obydwa te miejsca były o tyle, znaczy łatwe do sypania w sensie, bo to jednak balkoniki, balustradki, tam zlecieć nie można. Tyle, żeby nie wzięli, jak człowiek stamtąd pryska. Francuska policja nie była zachwycona, że im z takich miejsc się uloty sypią, ale za każdym razem udało nam się stamtąd wydostać bez żadnych problemów. Natomiast najgorsza to była ta dzielnica łacińska, Saint-Germain. Dachy kryte blachą, kąt mniej więcej 45 stopni, mało tego, tak dosyć wilgotno było. Ten Olek po tych dachach zasuwał jak kot jaki. To mnie było wstyd, że jakiś tam taki borowiec, on tutaj chce być lepszy od Solidarucha, no to ja też, nie? Ale byłem przekonany, że zlecę, że to u mnie nie ma mowy, że ja wyjdę z tego żywy. Ale jak się okazało, dało się biegać, dało się te uloty na skraj tego dachu dowlec. Później żeśmy sypali z łapy, nie było tam żadnych urządzeń, mechanizmów, etc. No na Saint-Germain to przy aplauzie tłumy, no bo tam ludzie, którzy tam spacerują są też specyficzni, dzielnica studentów, wolnomyślicieli, etc. więc te brawa tam się rozlegały ze wszystkich stron. No to wtedy właśnie nasypałem się tych ulotek od jasnej cholery. Później oczywiście wylądowaliśmy w tej samej knajpcie, co Olek zawsze. Ja jeszcze nie miałem się gdzie przebrać, więc byłem w jakimś takim kombinezonie roboczym, więc Olek mnie ze spokojem przedstawił jako mechanika z tego samolotu, którym on przyleciał. Kelnerka przyniosła wino i przyniosła od razu dwie fiołki aspiryny 1000, tej takiej rozpuszczalnej. „A to po co?”. „Ja nie wiem, ale pan Aleksander kazał podawać jak tylko bierze pierwsze wino”. Olek mówił: „chowaj do kieszeni, zobaczysz, przyda się jak...”. Okazało się, że tak, bo żeśmy tam tego wina spili, jeszcze później żeśmy u niego kończyli. No i rano można było się obudzić z potwornym kacem. Tymczasem aspirynka 1000, rozpuszczalna, leczymy kaca w sposób genialny. To się nauczyłem od Olka, długo stosowałem. Teraz nie muszę, bo biorę na rozrzedzenie krwi jakieś tam inne lekarstwo robi dokładnie to samo. Taki był Olek. Olek też zrobił cudowną akcję. Pierwszy przyjazd Gorbaczowa do Paryża. Ma przyjechać Gorbaczow. W związku z tym Olek, który prowadził równolegle jakiś warsztat samochodowy wymyślił, że on zbuduje w swoim garażu makietę ruskiego czołgu 1 do 1. Tam tektura, sklejką, tak to wszystko można polepić. I że on tę makietę wystawi na Champs Elysees, W środku głośnik oczywiście, czyli „gadała”. No i z tej tekst nagrany na magnetofon, po francusku, ale z silnym akcentem radzieckim: „Mieszkańcy Paryża, nie stawiajcie oporu, nasze wojska są już tutaj, wódz przylatuje jutro”. Tak to wszystko zostało wymyślone przez Olka. Biuro paryskie chwyciło pomysł. No i bezpieka francuska przed przyjazdem Gorby zadzwoniła do biura, zapytała się, a wy co tam szykujecie na przyjazd Gorbaczowa. No to Piotr Kruszyński mówi: „nie, tam specjalnie nic. No dobra, postawimy na Champs Elysses ruski czołg”. No to oni się roześmieli. Diabli nadali, ten czołg stanął naprawdę. Bezpieka była wściekła, opieprzali. No to on mówi: „przepraszam, przecież wam powiedziałem”. Oni to przywieźli ciężarówkę. Zdjęli plandekę, czołg był zamaskowany. Czołg był lekki, więc we czterech postawili go na ziemi no i chodu. Głośnik się włączył, audycja leciała. Olek co prawda nie Grupy Oporu, ale grupy tam, zrobił piękną akcję, no był fajny chłopak. Fajny chłopak. Stankiewicz. Aleksander Stankiewicz, znaczy o niego się pyta bardzo wielu ludzi jeszcze teraz. Bo Olek poza tym, że był malowniczy i robił piękne akcje, nie miał poszanowania dla pieniędzy własnych i pieniędzy cudzych. I Olek od różnych ludzi napożyczał straszną

masę pieniędzy. On tych pieniędzy nigdy nie miał, bo je przełupiał tak samo szybko jak one się znalazły. Natomiast ci ludzie chcieliby te pieniądze kiedyś odzyskać, mimo że to tyle lat minęło. I od czasu do czasu słyszę: „a ty masz jakiś kontakt z Olkiem może?”. Znaczą tak naprawdę nie mam rzeczywiście, mam jakieś tam ślady, gdzie można by go było szukać, ale nawet nie szukam, bo to sensu nie ma. Była to niezwykle malownicza postać.

Artur Kłus: Zapytam jeszcze Panie Januszu o „Grubego Piotra”, albo po prostu w ogóle o kwestię zasmradzania. Jak Pan pamięta tą metodę, że tak powiem walki, jak Pan to wspomina?

Janusz Ramotowski: „Alek”, ja nie wiem, ale „Alek” na tych naszych odprawach zeznawał, że pierwsze zasmradzanie zrobił pierwsza konferencja PZPR-u w Płocku, w stoczni tej rzecznej. Że oni te kapsuły z tymi kaptanami przylepili do reflektorów. No i jak reflektory się rozgrzały, to te kapsuły pękły. No i konferencja się skończyła, bo smród niesamowity. No rzeczywiście z ludzi mi bliskich, znaczy dwóch takich było, był jeszcze Marek Gajek, pseudonim „Dratwa”. Więc Marek brał listę ludzi, te kapsuły w kieszeń, no i się dobijał do mieszkania, wrzucał, no i wychodził. „Gruby” robił to samo, znaczy Piotr Izgarszew. No i „Gruby” kiedyś biedak, a on w ogóle chyba był taki. Był zorganizowany jak był. Ta kapsuła mu pękła w kieszeni. Pękła mu w kieszeni spodni, jak tam z nią wędrował. Smród się zrobił taki, że on biedny musiał zaszuwać środkiem ulicy, bo strasznie śmierdział. Przyszedł do Elżbiety Zielińskiej, tam taki lokal był na Reymonta. Mamy z Elżbietą kontakt do dzisiaj. Więc został rozebrany na naga, te ciuchy zostały wywalane natychmiast, ale Elżbieta twierdzi, że dobre dwa tygodnie po wizycie Piotra, w tym mieszkaniu po prostu cuchnęło w dalszym ciągu. Te merkaptany były straszne. Krótko mówiąc, to dostarczał taki chemik, z którym kontakt miał Grzesiek Jaczyński, Dosyć, że chyba już po tym stanie wojennym, w którymś momencie Petrochemia Gdańska zasmrodziła pół miasta, bo władowali w te rurociągi 70 kg tych merkaptanów i to pół miasta było nie do życia. Zresztą taka kapsułeczka tego merkaptanu mieszkanie eliminowało na bardzo długo z użytku. Ja nikogo nie zasmrodziłem. Te merkaptany miałem w ręku, jakimś tam cyklem produkcyjnym gdzieś tam przechodziły. Później to pytanie, pytanie następne, czy za każdym razem zasmradzano mieszkania ludzi, którzy sobie na to zasłużyli? Bo te listy tych kolaborantów, to wszystko to było robione w sposób przypadkowy, chaotyczny i niekoniecznie prawdziwy. To, to też diabli wiedzą w końcu kto winien, kto nie winien. Były wręcz prośby przez Region, żeby zostawić tego człowieka, bo to nasz człowiek... Była też taka sytuacja dramatyczna, w czasie kiedy było jakieś zebranie w herbaciarni, to doszło do próby gwałtu na... Tak, znaczy to... No, czy ja... Tak, ja też uczestniczyłem w tym zebraniu. To córka Elżbiety, no i Jerzego, Jerzy był ojczymem. Po prostu napadł jakiś bydlak tą dziewczynę w windzie. Na szczęście ta winda jechała na dziesiąte piętro tam, na to nasze piętro. Monika się wyrwała, wpadła do domu. On tą windę zjechał na dół. Ja złapałem Monikę i po prostu zbiegłem do okien na klatce schodowej, żeby pokazała jak wychodzi. Natomiast wtedy, no to kto to był? Jacek Kurowski, Wiesiek Ostroróg, może ktoś jeszcze. No tych dwóch na pewno było. Więc oni zbiegli schodami. No i jak on z tej windy wysiadł, to go praktycznie mieli tam, parę kroków było, żeby go tam złapać. No to go złapali, przyciągnęli z powrotem na górę. No i dostał wpierdziel, dostał wpierdziel okropny. No i jednak, nie wiem kto, pewnie Elżbieta wezwała milicję, nie? Gliniarze się specjalnie nie przejęli, że on został obity. „A to początek, resztę dostanie na komisariacie”. Natomiast trochę było nieładnie, bo syn tego Wiesia Ostroroga, widząc gliniarzy, zaczął krzyczeć: „Gestapo, Gestapo, Gestapo”. [śmiech] Ale oni jakoś tak przeszli do tego ze spokojem zupełnym. Monika jest w Hiszpanii w tej chwili, od lat mieszka w Hiszpanii. Wiesio Ostroróg nie żyje. Jacek Kurowski już w wolnej Polsce dostał wyrok za napad z pobiciem i tam jeszcze nie wiem z czym. No i jak miał przepustkę z więzienia, jak wyszedł,

tak nie wrócił. I na dobrą sprawę to do dzisiaj nie wiadomo, co się z nim dzieje, gdzie jest. Według mnie nie ma go w Polsce, ale to znowu nie mnie go poszukiwać i ścigać. Bardzo różne są te życiorysy tutaj. Od Bogdana Sawickiego, taki chłopak, Marek Parol, jak się zaczęły te wojny Pruszkowa z Wołominem, no to on był żołnierz Pruszkowa. No i odstrzelił go Wołomin w tymże Pruszkowie na przykład, prawda. Tam też od Piotra Izgarszewa, taki chłopak, który mieszał tam te materiały do tych wyrzutników. Poczł się takim fachowcem, że zaczął robić później takie ostrzejsze materiały. Ale on to robił na zasadzie komercyjnej, czyli robił dla wszystkich, którzy płacili. Więc i Pruszków, i Wołomin, i jedna i druga ekipa zostawiali go w spokoju, bo to było zaopatrzenie. No i wpadł w końcu, nie wiem, chyba z 15 lat dostał. To jakaś taka była akcja, żeśmy z „Grubym” próbowali go tam wyciągnąć, tam jakieś koneksje, kontakty, ale to człowiek jak się dowiedział o kogo chodzi, to się przestraszył i uciekł. Także te powojenne losy tych wszystkich ludzi są bardzo różne. Była też jeszcze historia, że w pewnym okresie Pana odwiedzał kuzyn, który został zomowcem. Jak druga strona w ogóle widzi działania opozycji? Ja z nim rozmawiałem na tyle, na ile można było. Po prostu żeśmy specjalnie nie rozmawiali. Najpoważniejszą rozmowę z nim miałem z Ryśkiem. Ryśkiem zomowcem. Kiedy przyleciał i się pytał czy wujek jest w domu, bo mieliśmy rozkaz zatrzymać takiego z brodą, To moja pani mówi: „a co, bałeś się, że ci wujek po mordzie da?”. I wtedy się skończyły te wizyty zresztą. Natomiast, ponieważ był w Warszawie, ponieważ mój adres dostał, no to przychodził, przychodził najczęściej jeszcze z jakimś drugim góralem, tam z Podhala. To śmiesznie wyglądało, no bo oni jak na ten patrol tam gdzie szli, No to tam mieli te kałasznikowy, ten cały majdan ze sobą. No to przychodzili, parkowali w przedpokoju, a tam u nas w środku tam nieraz „Gruby” był, nieraz ktoś jeszcze. No i tak żeśmy wspólnie przy tym stole, przy wódeczce tam sobie pogadywali. Na ile oni mieli świadomość z kim rozmawiają, to ja nie wiem na końca. Mam wrażenie, że mogli podejrzewać. Ale my z kolei żeśmy się też, tak w takich ogólnych rozmowach, no właśnie jak oni się boją. No więc ten góral stwierdził, że Warszawa to jest spokojne miejsce, że w Nowej Hucie to się boją. No i tam o tym szkoleniu: tam wrywali w środku nocy na alarm, no bo będą jechać coś tam, rozbijając fabrykę, czy diabli wiedzą co. Ładowali ich na świetlice, krzeselka ustawione, wszyscy siadają na tych krzeselkach i to ma być ten autobus. Z przodu siedzi kierowca, kierowca ma obowiązek warczeć: wrrr, wrrr, wrr. Oni siedzą. Później rozkaz z wozu, no to oni biorą te pały i te tarcze, z tych krzeselek wyskakują i tam lecą na ten korytarz. Proszę ciebie, no i później mówią spać, taki alarm. I to było ćwiczone bez przerwy systematycznie, a wydaje się, że chodziło o to, żeby w nich – zresztą oni to mówili – że wreszcie jak jechali na akcję, to się cieszyli, że to wreszcie nie te krzesła, nie to beznadziejne wrywanie w nocy, tylko jadą na akcję, to im sprawiało przyjemność, więc tutaj te dopytywania, czy ich narkotyzowano, czy tamto, to bzdura totalna. Nie można kierować dużym zespołem ludzi będących na haju po narkotykach. Reakcje tych ludzi są nieprzewidywalne i teraz dowódca takiego plutonu musi wiedzieć, co ludzie robią, co mogą zrobić. Myślę, że to ich narkotyzowanie polegało między innymi na tego typu rzeczach, że ilość tych fałszywych alarmów, tych potwornych utrudnień, upierdliwości, jakie oni przeżywali, wystarczył na to, żeby później jak ruszali na miasto, żeby mieli chęć. Mój kuzyn później znalazł się już w cywilnych ciuszkach. On tam jeszcze był myśliwym, więc strzelał dobrze. Więc stał się strzelcem wyborowym. On miał obowiązek strzelać minimum 50 sztuk amunicji dziennie. Mógł więcej, ale 50 musiał wystrzelać. I uważam, że tego typu hodowanie ludzi do tych przyszłych akcji, które się nie odbyły na szczęście, to było straszne. To było straszne, bo tego człowieka przez jakiś okres czasu ćwiczyli w celnym strzale do zabijania. Doskonali go w tym, co już umiał niejako. A później to żeśmy stracili kontakt. Coś się nieraz tam odezwało, ale... Oni też brali udział w różnych demonstracjach. I też o demonstrację chciałbym Pana zapytać.

Artur Kłus: Jak w ogóle Pan pamięta ten... Czy pierwsze majowe, czy sierpniowe manifestacje, 1982, 1983?

Janusz Ramotowski: Ja pamiętam jak najgorzej, no bo dostałem bęcki takie jak się należy. Więc lepiej nie można było, to znaczy... Starcia z jakimś kordonem zomowców, z tymi pałami, z tym wszystkim, to było nieraz do wygrania. Tak jak pierwsza manifestacja 1 maja 1982 roku, przecież na rynku Starego Miasta ci zomowcy bronili już dostępu do Jezuickiej, rzucając w nas kamieniami. Bo stała ta polewaczka, a woda się skończyła. Polewaczka ugrzęzła tam w tym całym bałaganie, nie mogła pojechać. Więc te kamienie, które my żeśmy rzucali w nich, to oni zbierali i rzucali w nas. No więc tutaj ten, jak by powiedzieć, równowaga sił była jakaś. Tego 31 sierpnia jednak mimo wszystkich niedoskonałości udało nam się zatrzymać kolumnę ZOMO. Tylko tym, że ze 2–3 butelki zapaliły się dobre 50 metrów od nich. Bali się tego no i koniec. Natomiast jeżeli chodzi o tajniaków. No to po prostu trzeba było bardzo uważać. No i taki głupi jak ja nie uważał tak jak trzeba w związku z tym doszło do pewnych kłopotów. Próbowiałem zdjęcia robić, bo wtedy właśnie „Gruby”, był Piotr i Jacek Kurowski. Ja w ogóle nie wychwyciłem tych tajniaków, zresztą oni też nie. Zrozumiałem dopiero, jak widziałem pięść, która idzie w stronę mojego nosa. Wcale nie szybko, ona się przesuwiała jak w zwolnionym filmie. Ale trafiła mnie tak jak trzeba, no i tyle. My żeśmy ich nie widzieli, chociaż później jak się zacząłem przyglądać starannie, to widziałem ich ciągle, prawda. Gdzie byli, tam ich widziałem, ale te pierwsze odruchy, bo to tłum, no bo w tłumie, no to wiadomo nasi, bo tu... To człowiek nie zwracał uwagi, natomiast trzeba było się tego bardzo pilnować. To było w 1983 w maju? W 1982 chyba, a może w 1983? Nie no, w 1983 bo ja już miałem aparat przecież ze zrzutów, no. To już musiał być 1983 rok. Skończyło się szczęśliwie, bo ten aparat był wart kupę pieniędzy, więc mój dowód poszedł pewnie do studzienki kanalizacyjnej, a aparat poszedł na handel. Tak mi się udało, że nie było dalszych konsekwencji. Później zebrałem straszliwy opierdziel od Ewy Kulik, która zabraniała mi zjawiać się na mieście w takich dniach. Szkoda, że ten kwit zaginął, w każdym bądź razie nawyzywała mnie od ostatnich. A ja się przekonałem, że ze mnie reportera wojennego nie będzie. Wtedy też dość mocno został pobity... No „Gruby” został pobity, Piotr Izgarszew Tak dosyć skutecznie, z tym, że on uciekł z pogotowia. Jak ja go zobaczyłem, to on leżał nieprzytomny, no i lała mu się krew i z ust i z uszu. Tutaj te bębenki pewnie też to jakoś tam to było ruszone. Jakiś przypadkowy człowiek zawiózł go na pogotowie, no tam go doprowadzili do kultury. No i zupełnie słusznie Piotr po prostu prysnął stamtąd, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Natomiast Jacka zwinęli, no i stanął przed Kolegium. Stanął przed Kolegium tego samego dnia, w tych samych momentach. Nie wiedzieli za co, bo jechał też na Cyryla Metodego tam go zawieźli. Więc miał na szyi karteczkę pt. fotografował kolegę. Kolegium się pyta: „jakiego kolegę fotografował obwiniony?”. Bo przed kolegium to obwiniony. No on mówi: „ja nie mam żadnych kolegów, nie mam aparatu fotograficznego. No to jak ja mogłem fotografować kolegę? Jakaś pomyłka”. No to zmienili mu zarzut, że zorganizował demonstrację, kierował ją w kierunku budynku Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a tym samym zagroził życiu premiera generała Wojciecha Jaruzelskiego. Więc ostro poszło. Jacek przytomnie się zapytał, mówi: „proszę wysokiego Kolegium, to ja tylko jedno pytanie mam: a ile by kosztował udany zamach na Jaruzelskiego, bo ja jestem gotów zapłacić z góry?”. No i na takie dictum, znaczy tam byli przedstawiciele Komitetu Prymasowskiego, ale i tacy obserwatorzy, którzy tam się dostali na tą rozprawę, została zrobiona „ściepa” natychmiast na sali. Także, że natychmiast został wykupiony, że tak powiem, w dużej części przez, no może swoich, ale przypadkowych ludzi. Jeszcze w tym okresie, to była tam wiosna, marzec 1983 roku, doszło też do aresztowania Kłincewicza.

Artur Kłus: Pośrednio był Pan w to zaangażowany, bo to się zdarzyło jakoś po wizycie u Pana, tak?

Janusz Ramotowski: Nie, nie, żadnej wizycie u mnie. On został zwinieły w centrum Warszawy. Gdzieś... Znaczący mi się te ulice w tej chwili już chrzanią. W każdym bądź razie, nie za daleko od Wilczej, tam w tamtym kwadracie. Nie będę mówił, która to ulica dokładnie, bo mi samemu się Warszawa już myli, ja już nie jestem w stanie tych ulic wymienić dokładnie, ale to jest centrum Warszawy, on miał spotkanie, on tam miał spotkanie... Może w książce to jest napisane. W każdym razie to było w ramach przygotowań do druku, bo tam miały być manifestacje. No i Teoś twierdził, że go zwinęli, że to było zatrzymanie przypadkowe zupełnie. Fakt jest faktem, że Teoś miał przy sobie dwa dowody osobiste. Miał ten swój dowód na Teodora Klinewicza. I miał fałszywy dowód na nazwisko Ludwiczak, już nie pamiętam imienia. I Teoś ten dowód odrzucił od siebie w momencie zatrzymania. I ten dowód trafił do tego Ludwiczaka w końcu, bo ten Ludwiczak istniał autentycznie, on był dawcą dowodu, czyli z całą świadomością przekazał swój dokument do celów podziemia. No i jego tam zaciągnęli na Wilczą. Oczywiście w tej torbie znowu było wszystko co było. No i może bezpieka wtedy, etc. Mnie się wydaje i to się w tej chwili zaczyna pomału potwierdzać również przez to co robi IPN, według mnie Teoś został aresztowany, ponieważ trzeba było zrobić miejsce dla „Alka” – dla Andrzeja Niedka, który miał przejąć Grupy. I tym samym dotrzeć do Regionu, przy „Alku” był Kotarski – Pękalski. I Teosia należało wyeliminować na czas jakiś. I dlatego Teoś został zwinieły. Tam nie było żadnego przypadku. Jeżeli do tego dalszego nieszczęścia nie doszło, to tylko dlatego, że sposób działania „Alka” był tak potworny, że po prostu Region odciął te kontakty. Odciął te kontakty, bo po prostu się nie dało, prawda, nie dało się tego dalej prowadzić. No i w związku z tym „Alek” pozostał na mieście, ale bez możliwości dalszej penetracji. I dlatego też w którymś momencie, jak Teoś wyszedł, co zrobiono? Ujawniono „Alka”. Zneutralizowano „Alka”, żeby Teoś mógł wrócić na swoje miejsce. I do niego znowu się przykleił Kotarski. Zmuszono „Alka” do ujawnienia? Tak, tak, jego zmuszono, to zostało zrobione z pełnym... Znaczący większych kłopotów nie było, jak to w świecie bywało, Alek miał żonę, która została w domu, no i miał łączniczkę, która była pod ręką, no i z tego związku powstało dziecko, córka, o imieniu Wiktoria. I w którymś momencie po prostu na ulicy do „Alka” podeszło jakichś dwóch typów. Przedstawili się, że są z kontrwywiadu wojskowego, że w ogóle to mu gratulują, bo on tak unika tych wszystkich, powiedzmy, obserwacji, etc., że prawie niemożliwe, to jest cudem, że oni go teraz akurat tutaj jakoś tak znaleźli, spotkali, ale teraz to już koniec. Teraz on się musi ujawnić, bo jak nie, to oni pójdą do jego żony i powiedzą, że on ma córkę z tą łączniczką. No i jeszcze go bardzo proszą, bo tam powiedzieli, gdzie ma się ujawnić, jeszcze go bardzo proszą, żeby tylko uważał do jutra, bo to następnego dnia miało być, żeby go bezpieka nie złapała. No i ten „Alek” powędrował. Oni byli bezpieka, a nie żaden kontrwywiad. Tamci byli bezpieka. „Alek” powędrował się ujawnić, a oni pojechali do żony „Alka” i jej powiedzieli o tej córce. Ujawniło się w sumie kupa ludzi od „Alka” wtedy, bo mu powiedzieli, weź tam tych swoich ludzi poujawniaj. Tam paru powiedziało, że ma to gdzieś i się nie ujawni, tam odskoczyło na bok, ale większość tych ludzi się ujawniła, no i „Alek” szukał kontaktu ze mną. Szukał kontaktu ze mną, w końcu ten kontakt dostał. No i ja się przeraziłem jak go zobaczyłem, bo to była galareta, ten człowiek się po prostu trząsł, trząsł się ze strachu. Że ja mam się zgłosić, mam się ujawnić, bo dali mi tydzień czasu, bo jak nie, to przyjadą, mnie wezmą, etc., etc. Jakoś mi się to wszystko nieprawdopodobnie wydawało, a poza tym ja nie lubię rąk podnosić do góry, mi to nie idzie za specjalnie. Więc powiedziałem „Alkowi”, żeby się odczepił, niech powie swoim nowym koleśiom, że mieszkam i mieszkam w domu i będę mieszkał. Więc jak mają chęć, to niech przyjadą. No i tyle, nie? Czy spałem spokojnie? Chyba ci nawet Broniu [żona] nic nie mówiłem, o tym „Alku”. Nie, na pewno nie mówiłem. Nie wiem, czy spałem spokojnie, ale spałem w domu, no i co?

No i nie przyjechali, nie? Jakoś wtedy tych spustoszeń się narobiło strasznie dużo. Ten zespół „Alka” i „Alek” przestali istnieć. Została z tego drukarnia u Bolka Jabłońskiego. Dalej ta drukarnia była kontrolowana w sposób całkowity przez Kotarskiego. To była jego drukarnia, więc jak jej się miała krzywda stać? „Alek” przez długo nie istniał tam na tym rynku podziemnym. Później znowu wrócił, bo to tak ciągle wracało. Ale już nigdy nie wrócił jako taki wielki wódz i szef. Znaczy to było po mnie, mnie już w kraju nie było jak „Alek” znowu zaczął konspirować, nazwijmy to. Ujawniono go tylko po to, żeby Teos mógł wrócić na swoje miejsce. A Kotarski znowu znalazł się przy Teosiu. Historia Grup Oporu to jest historia Kotarskiego – Pękalskiego. I oni nie chcieli zrobić krzywdy Grupom Oporu. Grupy Oporu miały uwiarygodnić jak najbardziej Kotarskiego. Uwiarygodnić do tego stopnia, żeby to właśnie, może najpierw przez „Alka”, a później samodzielnie, żeby on rozpoczął współpracę z RKW. Jakby rozpoczął z RKW, w dalszym ciągu by się nic złego pewnie nie stało. Czekali, czy da się go dopchać do TKK. I taka była rola Kotarskiego, cudów nie ma. Teraz ten Wołk [Grzegorz] zaczął znajdować takie dokumenty, które zaczynają potwierdzać to, co ja krzychałem zawsze. A Kotarski jak Kotarski – żyje sobie nie najgorzej. Na pewno odpowiada moralnie za śmierć Piotra Mazurka. No i mu to powiedziałem. Żeśmy się widzieli w sumie chyba dwa, trzy razy. No i mu to powiedziałem: „A wiesz, napisałem, że ty odpowiadasz za śmierć Piotra Mazurka”. „Tego nie mogłeś napisać”. „Ale ja napisałem i co teraz mi zrobisz? Procesiki jakieś może, albo co? To ja bardzo chętnie, nie? Już jestem gotów”. Myślał, myślał, mówi: „w twojej obecności nigdy nie podejść do okna”. Bo Piotr wyskoczył przez okno z siódmego piętra, nie? „No głupi jesteś, bo gdyby nie to, że nie mam chęci spędzić ostatnich lat mojego życia w kiciu, to bym Cię utłukł tutaj przy tym stoliku teraz”. Po co okno, nie? Ale no jest oczywiste, że to nie ma żadnego sensu, takie akcje. Natomiast powiedziałem mu, co nim myślę. Czy to mu cokolwiek dało do myślenia, myślę, że nic. Zupełnie. Jakby tam, nie wiem, znaczy potrzeb to nie ma, no ale gdybyśmy się gdzieś tam zderzyli, to ja mogę z nim rozmawiać. Tylko znowu pytanie o czym, nie? Jest tam jeszcze parę takich rzeczy, które warto by było wiedzieć. Zresztą rozmowa, kiedyś jeszcze z Domagalskim, żeśmy go tam... rozmawiali z nim, przesłuchaliśmy go, czyli jak to nazwać, wszystko jedno.